H. D.

Panu Henrykowi
Szymanowskiemu.
na pamiątkę
= [illegible] –

1

# KOPIA PEWNEGO LISTU.

(dnia 22go Marca 1856 roku.)

N

## Kopia pewnego listu.

Ostatniemi czasy dwa razy pisałem do Pana (12 i 15 Marca), a w obudwóch listach ani słówkiem nie doniosłem o wypadku dość szczególnym, którego byłem sam oczewistym świadkiem. Mówię to o żenitbie Augusta Zapolskiego z córką Xiężny Radziwiłtowej.

Trzeba Panu wiedzieć, że przed kilku miesiącami, kiedy zaczęto mówić głośno, że się August Zapolski żeni, publiczność ukraińska nie miło przyjęła nowinę; szczerze czy obłudnie nie pochwalała tego związku.

Jak mógł Pan August z tak wysoka zejść tak nizko?(!); ten który zamyślał kiedyś o Iwanowskiej, miałżeby skończyć na Wojciechowskiej?(!).
Niewierzyłbym gdybym tych niedorzeczności na własne uszy nie słyszał.
Znaleźli się nawet tacy, który odwołali się do mnie, ażebym ja przyznał prawdę tej ogólnej opinii, której byli tłumaczami.

Moi Panowie, rzekłem, niedawno dopiero przybyłem z innych okolic w te strony i nie mogłem się przejąć tutejszemi wyobrażeniami, nie dziwcie się przeto jeśli o ich prawdziwości przekonania mieć nie mogę. Niechcę wam przeczyć, ale pozwólcie sobie zrobić jedną uwagę. Wychowałem się w Warszawie i całą mło-

dość w niej spędziłem, owóż na Mazurach: za dwóch Iwanów jednego Wojciecha nie dadzą.

Tej dykteryjce zapewne winien jestem zaproszenie, które dostałem na d. 21^go^ Lutego; w wigilią wyjechałem z domu; z podróżnego noclegu nie rano mi się przyszło wyruszyć, następnie zdybałem jednego z moich dawnych znajomych, stojącego w karczemce popasem, który mnie dość długo zatrzymał i zaledwie przed samym wieczorem stanąłem w progach, kędy Hymeneus miał zapalić swoją pochodnię.

Zebranych gości już było nie mało, gdyż jeden z ostatnich zdążyłem. Akt szlubu nie odbył się jeszcze, a nawet mówiono, że będzie odłożonym do

jutra, gdyż panna chora i stawiano jéj pijawki i bańki.

W parę godzin po mnie nadjechał X. Proboszcz i dano nam wiedzieć, że się akt odbędzie i że się panna już stroi. Przyszliśmy do salonu, gdzie skoro za tem drużki przypięły nam weselne bukiety. X. Proboszcza wezwano do kobiecych apartamentów, dla examenów przedślubnych. Dobra chwila minęła za nim wrócił, prosząc kilku z nas i mnie między niemi, ażebyśmy się podpisali na examenach, jako swiadkowie.

Szlub miał być za indultem biskupim, potrzeba było poswiadczać podwójne exemplarze. Kancellarya Xiężnej Pani znalazła się nie we wzorowym porządku. Pióra niechciały

się maczać naprzód, a pisać potemu, ale koniec końców jakoś położyliśmy nasze fac-simile, a tu tymczasem panna młoda z drużkami w mirtach, rozmarynach i pomarańczowem kwieciu, Pan młody z drużbami z błyszczącym okiem i guzikami od fraka, obchodzili salon do koła, kłaniając się na prawo i lewo, prosząc o błogosławieństwo, poczem przeszliśmy do drugiej komnaty, gdzie przygotowany stał ołtarz i ślubna para stanęła na kobiercu.

X. Proboszcz po przemowie stosownej do okoliczności, wystawiwszy ważność sakramentu, upomniał się o obrączki, o wodę i kropidło, a zmówiwszy Veni Creator przystąpił do obrządku.

Dotąd wszystko szło jak z płatka, ale jak przyszło do roty małżeńskiej przysięgi panna młoda opuściła rękę swego oblubieńca.

—„Nie, ja Pana nie kocham; przepraszam Pana!"

—„Nie ma za co," odezwał się ktoś z przytomnych, zapewne jeden z tych nieznośnych ludzi, którzy chcą koniecznie mieć ostatnie słowo w rozmowie.

Panna młoda odeszła od ołtarza, Pan młody stał jeszcze, blady i zmieszany wodził osłupiałym okiem, a lada chwila miał się zwalić na posadzkę.

—„Chodź," rzekłem, biorąc go silnie za ramię.

—„Co to ona ze mną zrobiła?" zapytał, jakby budząc się ze snu.

Wyprowadziłem go, a raczej wywlo-kłem do jednej z izb gościnnych na prze-ciwległą stronę, a sam wróciłem do to-warzystwa, w którym, szczególność i niezwyczajność zaszłego wypadku, nie mogła nie sprawić zamieszania. Prawie wszystkich zastałem w prze-stronnej sieni, w czapkach i płasz-czach, oczekujących na konie, które zaprzęgać kazali i gotowych do wy-jazdu.

Noc była ciemna i ciemna, a co gorzej wietrzna i zawieja kurzyła tu-manami śniegu. Zapewne na upar-tego można było dobić się do bliskiej Machnówki, z ryzyko małego przezię-bienia, z ofiarą lekkiego przemroże-nia ucha albo nosa i z pewną na-dzieją cyganów, którzyby się nam śni-

li przy czczych żołądkach; ale mi się nie zdało mieniać lepsze na gorsze i porzucać ciepły dach i gotowy obiad, dla tego że jedna ktosia opatrzyła się trocha przypóźno, że nie kocha swego narzeczonego.

Zebraliśmy się w kółko sejmowe i rada w radę stanęło prosić Xiężnéj Jmości, ażeby nam jeść dała. Miejsca chybionych nowożeńców mogą pozostać próżne, a my do łaski uprzejméj gospodzi zapraszamy się na obiadek.

Był między nami Jan Zapolski, stryj Augusta, starzec sędziwy przeszło siedemdziesięcioletni; dawny wojskowy, człowiek bywały i wesoły; razem z nim poszedłem sprawować poselstwo do Xiężnéj. Zaczęliśmy

od bardzo grzecznych ukłonów, z rachunku których wypadło, że za każde kiwnięcie głową odebraliśmy dwa dygi. Po wstępnych komplementach przyszło do sprawy. Księżna przyjęła ją wdzięcznie i przywołany służący jakiś Żydkiewicz odebrał rozkaz niemieszkanie nakrywać do stołu.

—„Żydkiewicz, proszę Księżnej?"
zapytał stary po odejściu służącego.

—„Żydkiewicz, do usług Pana Pułkownika," odpowiedziała dygając, „to dawny sługa jeszcze nieboszczyka mego pierwszego męża."

—„Znam, znam familią, jeszcze za Hetmańskich czasów, dobre imię."

—„O, ich jest kilku w Ptachowie, była to kiedyś szlachta, ale teraz jednowużce.

— „To zapewne z tych samych, gdyż zawsze mieli ze szczególniejszemi zwierzętami do roboty."

Trąciłem zlekka starego, ale to nic nie pomogło.

— Bo to Xiężna musiała czytać," ciągnął dalej o tym Żydkiewiczu, „który do Sągatmusy na Strusiu jeździł."

Była to figura z jakiejś powieści Czajkowskiego, podobno ze Szwedów w Polszcze. Niepamiętam co odpowiedziała Xiężna, podobno że znała osobiście Gugenmussa, czy miała od niego zegarek. Ktoś mnie później odwołał na stronę, a dalej obiad, który dawno był gotów, podano. Półkownik z Xiężną poprzedzie, za nim dwiedzy panami poszliśmy posuwisto. Dwa główne miejsca zostały nie-

zajęte, a resztę obsiedliśmy wokrąg stołu. Rozmowa nie kleciła się zrazu, ale ją powoli ożywiło wino. Potrawy postępowały porządkiem jedne za drugiemi; blizko końca strzeliły korki butelek i w długoszyich kielichach zapienił się szampan.

—„A co wujaszku," szepnąłem do Jana Zapolskiego, „może by zdrowie Księżnej Imości?"

—„Żeby nie pomyślała do diabła, że z niej kpimy," mruknął stary, „i nie rozgniewała się baba."

—„Kat ją bierz, co nam teraz zrobi kiedyśmy nie głodni."

—„Ha prawda, masz racyę."

—„Niechże Wujaszek zaczyna."

—„Ale wszyscy razem."

Jan Zapolski powstał, a zanim

wszyscy, i z podniesionym kielichem wniosł toast.

– „Zdrowie Jiężnej Jejmości. Vivat."

Kilkanaście głosów powtórzyło.

– „Zdrowie Jiężnej Jejmości. Vivat, vivat, vivat."

– „I prosimy o wino." dodał ten sam turbator voci, którego słyszałem przy ślubie.

Obiad się skończył, ale biesiada przedłużała się jeszcze do późnej nocy. Jan Zapolski, choć sam nie pił, towarzyszył nam do ostatka, i zachęcał do kielicha, podobnie jak Król Jan Kazimierz na uczcie u Krasińskiego Podkanclerzego Koronnego (Pasek 1666 r.). Żybkiewicz tym razem nie do dalekiej Sagatmusy za herbatą, ale do bliższej

piwnicy za winem biegał a biegał bez ustanku. Xiężna przychodziła do nas kilka razy, ażeby widzieć, czy nam czego nie braknie.

—„A państwo wszystko też mają?" spytała.

—„O proszę Xiężnej," odpowiedziałem, „apostołowie sami nie mieli więcej wina w Kanie galilejskim."

—„Wasza Xiążęca Mość niepowie," odezwał się któryś już trochę miażkim językiem, „żeśmy ludzie nieserdeczni i egoistowie!"

Gospodyni, ażeby nie pokazać że niewie o co chodzi, skłoniła głowę z uśmiechem na znak twierdzenia.

—„Co to, dodał jąkając, co to radzi żeby po nich był potop. Me Hercule, wysuszymy loch do dna, do osta-

trzéj kropli."

— „Amen," rzekli drudzy, ale tak uroczyście, że się Księżna przeżegnała, trochę z nabożeństwa, a trochę ze strachu.

Oczywiście, że po takiej przestrze nikt już nie pomyślił o wyjeździe; nie łatwo przyszło trafić do przyległej oficyny, a cóż dopiero było myśleć o dalszej podróży. Nazajutrz przebudziliśmy się około południa i dowiedzieliśmy się, że kobiety jedne w nocy, a drugie rankiem już odjechały, również August, który miał na nas czekać w Machnówce. Nam się zdało, że nie mamy po co spieszyć, tem bardziej, że wyjeżdżać na czczo nie zdrowo, a bez pożegnania nie grzecznie, posłaliśmy przeto do Księż-

nej prosząc o pożegnalne postuchanie i śniadanie.

Na poprawce kolej chodziła gęsto, nie przesadzę, jeśli powiem, żeśmy wypili beczkę wina. Jan Zapolski tylko dodawał ochoty. „Pamiętajcie panowie, że to dom Xiążęcy, nie zróbcie mu wstydu."

Ale nareszcie macherzyny nasze napoju więcej zmieścić nie chciały, chociaż odlewaliśmy je razy kilka; niemożna też było nadużywać gościnności i pora było odjechać. Konie były w pogotowiu; poszliśmy pożegnać Xiężnę; mnie obrano za oratora i kwiecistym stylem miałem rzecz wcale czułą, bo kiedym wspomniał prozapią domu, labirynty Nieświeżnich piwnic i kuchni

Radziwiłłowskiego zamku w Ołycce, gdzie stu kucharzy siekąc zrazy jeden drugiego nie słyszał, Xiężna tak się rozrzewniła i zapomniała do tyła, że chustkę ogromnie zatabaczoną podniosła do oczu i chciała na prawdę zapłakać.

Wyjechaliśmy nareście razem do Machnówki, a ztamtąd dopiero mieliśmy udać się każdy w swoją stronę, ale inaczej było napisano w xiędze przeznaczenia. Xawery Zapolski zabrał nas wszystkich do siebie, o lekkich cztery mile dzierżawił wioskę od Xiężnej. Szczerość zaprosin, niedaleka meta, a do tego skrzynia Szafnaglowskiego szampana pozostała od chybionej cukrowej wieczerzy, która mogła

skwaśnieć z czasem, wszystko to razem i z osobna sprawiło żeśmy pojechali do Psiarówki.

Przez Czwartek (23. Lutego), bawiliśmy u Xawerego; niesłychana zawierzucha zatrzymała nas jeszcze w piątek, była to niespodzianka dla gospodyni, która przypóźniła trochę obiad, już zmierzchało, kiedyśmy od stołu wstać mieli, chwaląc bez pochlebstwa wino, gdyż istotnie było przednie, kiedy przez okna zobaczyliśmy, że jakieś czterokonne sanie zajechały.

– „A to jakiś chwat! jakiś sąsiad serdeczny, w taką zawierzuchę przyjechać. Panie gospodarzu! panie Xawery! a każno dać wina, wypijemy zdrowie gościa."

Pochwili weszła jakaś kobieca

-postać, przetarłem oczy, niedowierzając, czy dobrze widzę. Była to Xiężna, Xiężna Radziwiłłowa niemylnie. - Po co? na co? za czem? te myśli nie przyszły nam od razu. Kieliszki pełne stały przed nami i zabrzmiało chórem:

-„Zdrowie Xiężnej Jejmości!"

Jednakże z ciekawieni byliśmy, jaką do nas mogła mieć sprawę, tem więcej, że ta musiała być pilna, jeśli się dla niej w taką przeklętą porę wybrała. Bożego świata nie było widać za chmurami śniegu, które wściekły wicher poddymał wysoko. Chcieliśmy ją wybawić, ale nadaremnie, nie było sposobu dopytać się ani słowa. Tak przeszedł wieczór, a dalej noc zapadła, niektórzy udali

się ku spoczynkowi; Xiężna czuwała jeszcze, mówiła wprawdzie wiele, ale wszystko nie do rzeczy.

Dwóch nas tylko zostało: gospodarz i ja; już dobrze po północy Xiężna nareście powstała, myślitem, że nas pożegna.

—„A proszę panów, ja mam coś pomówić z Panem Augustem."

—„Mościa Xiężno, powiedziałem, Pan August zmęczony i zapewne już w łóżku; możeby zostawić do jutra?"

—„A nie, nie, nie można."

—„No, to Panie Xawery poszlij mu oświadczyć żądanie Xiężnej, a zrobi sobie jak zechce."

Posłano za Augustem, już był rozdziany, ale się ubrał na prędce i przyszedł. Zaczem oddaliśmy życze-

nia „dobrej nocy” i poszliśmy do siebie, gdzieśmy posnęli niedoczekawszy się jego powrotu.

Sny miałem dziwaczne, nasłuchawszy się godzin kilka o trzydziestoletnim romansie Xiężnéj z jakimciś Jenerałem Łappą, zdało mi się widzieć w marzeniu długie dzieje téj stałej miłości, ale wyobraźnia nieumiała, albo nieśmiała uosobić sobie jej bohatera, przedstawiła tylko samo serce, które naprzód z sierżanckim galonem rosło widocznie w ordery, axelbanty i szlify, aż do grubych jeneralskich bulionów, kapiących złotem i oskrzydlających je całe. – Ciekawy wszakże byłem oblicza, owoż, jak na to, diabli nadali kulawego Asmodeusza z Szejna,

Katarynką; coś mnie tknęło że musi mieć Xiężną Jmość i Jenerała.

—„Hej sam tu kuternogo! pokażyj cienie."

—„A jakiego historia służyć Jaśnie Pana?"

—„Pokażyj dzieje miłości."

Asmodeusz zmówił zwyczajny prodrom.

—„ Panowie i Panie,
Wierne zakochanie,
Historie pocieszne,
Prawdziwe i fałeszne,
Od początkiego świata
Przez wszystkie lata:
Młoda i stara,
A każda para,
Po pół krajcara.
Nicht theur?

Tanicj burszcz,
Also,
Szejne Katerine
Anfangen sie
Marsz, Marsz..".

Przesuwały się kolejno w najdziwniejszym porządku: Dant i Beatryxa, Antoniusz i Kleopatra, Dafnis i Chloë, Abellard i Heloisa, Hryć i Maxryna, Werter i Charlota, Petrarka i Laura, Wolcer i Heligunda i mnóstwo innych nieznanych mi figur, o których nigdy nic słyszałem, aż wyjechał jakiś chudy rycerz na chudym rumaku.

-„ A oto na wielki szkapa
Pan Jenerał Lappa,
Jedzie na wojna turecka,
I poplakuje jak dziecka,

I poplakuje jak dziecka
Za swojom pociechom,
Za swojom zakochaniem,
Za swojom Miłościom,
Za Xiężnom Imościom,
Leben sie wohl,
Spielen sie mohl.
Marsz! Marsz!"

—„Łżesz durniu!" fuknąłem. „cóż ty xpie myślisz, że mnie oszukasz, taż to Don Kiszot."

—„A sto z tym przetaka,
Ta stojącego raka,
Różnego posładu trzęsi,
Dla indyka, kura, gęsi,
Wielki łupa, wielki głowa,
Jaki nima Berdyczowa,
Z klucznicy wyszła ona
Na Jaśnie Oświecona.

Xiężna Pania,
Tilki bidy.
Auf meine munes
Sehr hübsch
Marsz, Marsz!..."

Z początku myślałem że to Dulcynella z Toboso i chciałem już Asmodeusza podkręcić za ucho, ale kiedy cień twarzą obrócił, nadto świeżo miałem rysy w pamięci ażebym ich nie poznał.

– „Dalibog Xiężna!" zawołałem: „stój pokaż!" ale zaklęcie spłoszyło piekielnika i ja się ocknąłem.

Chociaż była już godzina dość późna, mało co przedemną pobudzili się drudzy i śniadali wesoło gwarząc przy herbacie. Chcąc się dowiedzieć o pilnej sprawie wenéj

która odwłoki do rana cierpieć nie mogła, spytałem o Augusta, ale ten wyszedł był przed chwilą, podobno znowu wezwany przez Xiężnę.

Staliśmy w oficynie, dokąd przyszedł Xawery, wracał z gorzelni czy z gumna, przeto nic nam powiedzieć nie umiał; rozmowa przeszła do innych przedmiotów i na chwilę zapomnieliśmy o Xiężnie, o Auguście i o całej Plachowieckiej burdzie.

—„Słuchajno Xawery" rzekł ktoś, patrząc w okno „ktoś do ciebie przyjechał."

Przed dworem stały czterokonne sanie, Xawery poznał zaprząg Xiężny.

—„Z panem Bogiem, potrzebna

nam jak dziura w moście."

—„Ale możeby ci należało, jako gospodarzowi, pójść pożegnać gościa."

—„Jest tam August, zastąpi mnie tym właściwiej, że to podobno dla niego wizyta."

W kwadrans mignęła się nam odjeżdżająca czwórka, która niebawem zniknęła w oddali. Ubrawszy się co żywo, poszliśmy do dworu, gdzie w jadalnej zastaliśmy Pana Zapolskiego, który trochę nie zdrów chyrlał na stare piersi; ale ten nie widział nikogo i nie wiedział o niczem. Kazaliśmy prosić Augusta; myślano zrazu, że u gospodyni; ale go tam nie było, mniemano że w oficynie i nie znaleziono, gdzie się mógł podzieć? przetrzęśli wszystkie kąty,

przepadł jak kamień do wody, aż wbiegł zadyszany służący Xawerego z doniesieniem, że pan August z panią Xiężną pojechał.

– „Co zaś, zwariowawszy!” zawołało z nas kilku.

– „A dalibóg pojechał, Semen powiada, że sam widział.”

– „A taki tak,” odezwał się Jakiś sługus, wychylający głowę z przyległego kredensu „pojechał ta pojechał, już gdzieś musi być na Holendrach.

– „To być nie może,” powiedział Xawiery „widziałżeś? jakto widziałżeś?”

– „A jużci, kiedym mu futro podawał i wsadzał do sani.”

– A to pięknie” rzekł Jan

Zapolski, którego śmiech i kaszel krztusił zarazem. „Dziżna Imość ukradła kawalera i to w biały dzień i to z łona rodziny."

Śmiech pusty opanował nas wszystkich, ale służba inaczej pojęła wypadek, przez chwilę na dziedzińcu pisarz łokawy już wydawał stosowne rozkazy, zwijając się z harapnikiem i krzycząc na całe gardło.

– „Hej! koni, ludzi, gonić, łapać, trzymać, a bić co się wlezie!"

Ksawery przywołał go do siebie. Wszedł pospiesznie i niepytany sam zaczął.

– „Zaraz wszystko będzie, dworscy się ładnują, a do cerkwi posłałem na gwałt zadzwonić, to

się gromada wnet zbiegnie. Naprzetaj dopędzimy jeszcze Xiężnę wpół drogi, niech się Jasny Pan nie turbuje, ja w tem.

Jakoś przecie, chociaż nie rychło przywrócono porządek do ładu, rozkazy pisarza cofnięto, a nawet pospiano zawrócić dzwonnika i allarmu nie było, kiedy wpadła Dziubińska, czy Dziubalska, stara Ochmistrzyni przy drobnej dziatwie Xawerego i zapłakana rzuciła się plackiem do nóg Jasnowi Zapolskiemu.

– „Ach Dobrodzieju! ratuj że, ratuj, na rany Chrystusa, na rany Zbawiciela."

– „Czego chcesz moja kochana?" zapytał starzec podnosząc ją z do-

brocią.

— „Ratujże! ratuj! a niedaj nieprzyjaciołom pociechy, ratujże! ratuj! póki czas i pora" — wołała zachodząc się od płaczu.

— „Mówże przecie Aspani, co to za nieszczęście."

— „Ach Dobrodzieju, porwali panicza, porwali Pana Augusta."

— „Skręciła się baba" — fuknął Xawery, którego te sceny zniecierpliwiły nie pomału.

— „No, no, bądź spokojna," rzekł Jan Zapolski „to taka zguba, która nieprzepadnie, albo sama wróci od złodzieja, albo od niej złodziej ucieknie."

— „Ja już wiem że nieprzepadnie. Moja jedynaczka, moja Te-

renia także się znalazła, ale mi skaleczyli dziecko na wieki, tyleż to tylko było jej panieństwa!"

„Widzisz Aspani, z dziewczyną sprawa inna, a z chłopcem inna. Ja się zaręczam, że Xiężna Jmość sama te rzeczy musiała lubić za młodu, i nic zrobi mu tej krzywdy, ażeby go uwałaszyć miała."

Argument trafił do przekonania, ale nam te wszystkie przyjścia połowę dnia zabrały. Sądząc rzeczy ludzkie po ludzku, nagły wyjazd Xiężnej z Augustem przypisaliśmy niespodziewanej zgodzie. Skrzydlata miłość furknęła jak ptak spłoszony, ale wróciła niebawem i wiono gnieździ się w panieńskim serduszku. Wnikać

w tajniki uczuć nie było naszą rzeczą, ani naszem zadaniem; trudno jest zgodzić i prostosować w porządek pewny wypadki powszedniego żywota, a cóż dopiero objawy namiętności. Pomimo psot, które nam często płata, świat ten jest najlepszym światem i będziem mieli weseliczko, <u>ex documentis de noviter repertis</u>.

Ale w pośpiechu August wyleciał jak kamień z procy: ludzie, konie, rzeczy, a nawet pieniądze zostawił. Nie zdało się nam tem wszystkiem samowolnie rozporządzać, a owszem dotrzeć samym do Płachowy i zobaczyć co się dzieje. Pojechaliśmy

tedy ja z Xawerym.

Xiężna zdybała nas dużo zdziwiona, byliśmy gośćmi niespodziewanemi.

—„Na krótką chwilę służymy Xiężnej," powiedziałem „dziwnym sposobem August zniknął bez wieści i szukamy go wszędzie. Pozwoli Xiężna zapytać, czy go tu niemasz przypadkiem?"

—„Ach proszę panów! jakie ja głupstwo zrobiłam, toż ja przywiozła Pana Augusta."

—„Mościa Xiężno! nie pierwsze i nie ostatnie, o to się spierać nie będziemy."

—„A moja Olimpka, zaraz mi powiedziała: co to Mama za głupstwo zrobiła, z Pa-

nem Augustem przyjechała."

Zaprzeczać było trudno, potwierdzać niegrzecznie, woleliśmy zamilczeć, w tem wszedł August.

— „No, wszystko skończyłem. Żenię się we wtorek i to już pewnie. Nieporozumienia zaszły z plotkarskich baśni, te się wyświetliły, rad nawet jestem, że się tak stało."

Świat ten jest najlepszym światem, pomyślałem w duchu.

Ale niechcę nudzić Pana dłuższą opowieścią, zmówię resztę w krótkich słowach. Szlub we wtorek nie doszedł, tu znowu było powtórzenie historyi „Panny Guzdralskiej"

którą Niemcewicz opisał. Czekaliśmy narzeczonych w Machnówce, gdyż proboszcz, na którego wyrobiono indult, dostał róży w twarzy (Erisipelas) i powtórnie do Plachowej zjechać nie mógł. Co chwila przybyć mieli i tak było od południa do północy, wybiła dwunasta i dzwonek kościelny zwiastował Wielki post, zaszła środa wstępna, popielec.

Pożegnawszy Proboszcza udaliśmy się do gospody na spoczynek. Prawie jednocześnie August przybył, zmęczony fizycznie i moralnie, rzucił się na łóżko i zasnął, skoro zatem uczyniłem to samo. Xawery

odjechał do domu. Spałem w najlepsze, kiedy mnie zbudzono. Ludzi, światła było pełno w izbie, myślitem że gore i zerwałem się prosty.

—„Pożar, gdzie pożar? jaki pożar?" spytałem.

—„Xiężna przyjechała z córką do szlubu."

—„Co? pali się."

—„Xiężna przysłała prosić panów, przyjechała z córką do szlubu."

Spojrzałem na zegarek, była godzina czwarta.

—„Proszę Pana" rzekł zafrasowany służący. „Pana Augusta budzę i dobudzić się nie mogę."

— „Niechaj śpi, daj pokój."

X. Proboszcz miał sen lżejszy od Pana młodego i chory zwlókł się z łóżka. Na Plebanii zastałem dość żwawą rozprawę. Matka robiła córce wymówki, a córka Matce wzajemnie; Xiądz jednej i drugiej recytował żarki „Pater noster."

Xiężna była w bogatym cytrynowym robronie, w perłach, brylantach i złocie, na głowie miała aksamitny tok z piórami, który jej nadawał trocha podobieństwa do starych portretów Diega Almagro, zdobywcy miasta Kusko.

Panna w bieli, z wieńcem i zasłoną, wydała mi się kar-

narzutoną maską, którą wielki post zaskwerzył we wczorajszym przestroju.

Dwie drużki, czy podobno jedna, siedziała w ciemnym kącie, jak Starostanowiańskie miłosierdzie w murku.

Powitałem Xiężnę, zapytując coby miała do rozkazania.

— „A my tu przyjechały do szlubu."

— „Mościa Xiężno!" rzekłem surowo „mięsopustne chechele już się skończyły, a panie nadto strojno, ażeby głowy popiołem przesypać, trocha niewczesna maskarada."

— „A gdzie Pan August?

my chcemy Pana Augusta," ozwały się jednocześnie i matka i córka.

—„ Pan August śpi, a za niego służę Paniom. Hej! człowiek, gdzie futra? podawać karetę. Niech się Xiężna dobrze okrywa, gdyż zimno potężne," dodałem nadziawszy na nią szubę.

—„ No proszę Pana, kto to się mógł spodziewać."

—„ Mościa Xiężno, rzecz przewidziana, bez wielkiego postu niebyłoby Wielkiejnocy."

—„ To już chyba po Wielkiejnocy, odłożym ślub do Wielkiejnocy."

—„ Może lepiej do sądnego dnia", pochwyciłem, przypomniawszy jakąś starą przypowiast-

kę. (o Kanclerzu Dembińskim).

— „Proszę się kłaniać Panu Augustowi, ale pan bez czapki."

— „Nie omieszkam, nic nie szkodzi, sługa uniżony."

Zamknąłem drzwiczki od karety i krzyknąłem na furmana.

— „Jedź!"

Konie ruszyły z kopyta.

— „Stój! czekaj!" zawołali wystraszeni zakrystian, organista i dziadek kościelny.

— „Co znowu? co takiego? co się stało?"

— „Państwo zapomnieli Pannę drużkę, Pannę Paulinę."

— Tam do diabła; biegnijże Wacpanna, a zbieraj nogi. Któ-

sem! ktusem!"

—„ He! to głupstwo Dobrodzieju," pomyślisz sobie.

—„ Zapewne, starą dewotkę zostawić u Proboszcza w nocy z ostatniego wtorku na popielec, jeszcze by kto posądził że z nią bachusa dobijał."

—„ I cóż dalej."

—„ Na dzisiaj koniec. Dnia doczekawszy wyjechałem do domu, gdzie mnie żona i sąsiedzi poczytali za kłamcę, czemu nawet nie bardzo się dziwię, gdyż nie darmo Boileau, czy ktoś inny powiedział:"

„Le vrai peut quelquefois n'etre pas vraisemblable."